Nr. 11 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 czerwca 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

Ansion Kazimierz: Dziennik myśliwski . . . zł. 3·60
C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk . . . . „ 6·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska „ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie 1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie . . . „ 3·—
— O zwierzyńcu w Katowicach . . . . „ 3·—
Lisowice III. tom . . . . „ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku . . . . . „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . . „ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano . . . „ 6·—
Ostrowski Stefan: Z piersi myśliwego . . . „ 2·25
Roczniki „Łowca" z lat poprzednich . . . „ 15·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. . . . . . . zł 20·—
Sztolcman Jan: Żubr . . . . „ 3·30
Sztolcman Jan: Nad Nilem niebieskim . . . „ 6·—
— Jak unikać wypadków z bronią . . . „ 0·25
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910 . . . . . „ —·30
Ustawa Łowiecka. . . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego . . . . „ 3·50
— „Słonka" . . . . „ 2·50
Ziembicki Witołd: Jan Sobieski jako myśliwy „ 1·80
— Bibljografja prac K. hr. Wodzickiego . „ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

Podróż nemroda na wywczasy letnie



prowadzi przez LIPSK celem obejrzenia Międzynarodowej Wystawy Myśliwskiej i Futrzanej (I P A). Tutaj przeżywa on wrażenia, wywołane pokazami z dziedziny myśliwstwa obejmującemi cały świat i wszystkie narody, a sięgającemi aż do prastarych czasów. Wystawa posiada trofea, pochodzące ze wszystkich pasów klimatycznych, jakich dotychczas jeszcze nie pokazywano. IPA szczegółowo oświetla myśliwstwo z punktu widzenia gospodarczego i zaznajamia z nowoczesnemi metodami ochrony zwierzyny i najnowszym bardzo ważnym źródłem dochodu dla rolnika — hodowlą zwierząt futerkowych, pokazując jednocześnie cały szereg wzorów tego rodzaju ferm.

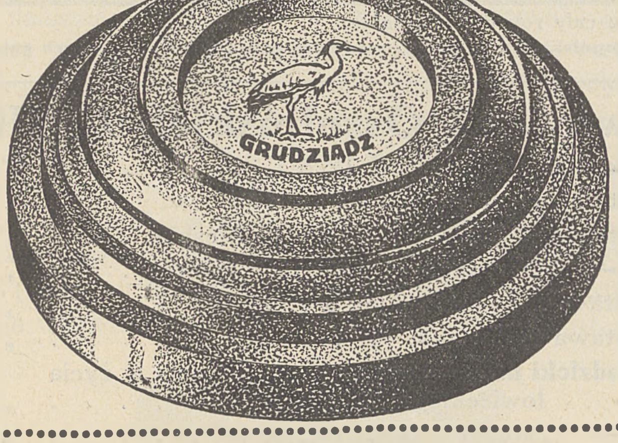
Żądajcie szczegółowego prospektu „3 Tage I P A" w głównym biurze I P A, Leipzig C. 1, Brühl 70

Międzynarodowa Wystawa Myśliwska

w połączeniu z

Międzynarodową Wystawą Futer, Lipsk

31. MAJA DO 30. WRZEŚNIA



RZUTKI marki „CZAPLA"

do strzelań myśliwskich nagrodzone na P. W. K. 1929 r. srebrnem medalem poleca fabryka rzutek asfaltowych

STANISŁAW CZAPCZYK

GRUDZIĄDZ (Pomorze)

UL. SIENKIEWICZA 7 — TEL. 315

LUBIEŃ WIELKI

obok Lwowa

Stacja kolejowa, poczta, telegraf, telefon w miejscu

ZAKŁAD ZDROJOWY SIARCZANY

KĄPIELE SIARCZANE I BOROWINOWE

LUBIEŃ leczy choroby stawów, reumatyzm, artretyzm, zapalenie nerwów, ischias, choroby krtani i choroby skóry. — Wziewalnie wód siarczanych, Emanatorjum radowe

Zakład otwarty od 15-go maja do końca września

Informacje udziela i prospekty wysyła Zakład Zdrojowy

Nr. 11 We Lwowie, 1 czerwca 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Po śladach legendy

(Ciąg dalszy)

Wśród dykteryjek nie brakowało też i łaciny łowieckiej, wobec której bledną przewagi ś. p. IMĆ Pana Muenhausena. Opowieści tych, artystycznie podanych, wysłuchać zawsze należało nabożnie, nie zdradzając niedowierzania, tembardziej, że i narrator, opowiedziawszy ten sam epizod niezliczone razy w życiu, sam już nie był pewny, czy to rzeczywistość, czy fantazja.

Jako przykład takich opowieści podaję poniżej wysłuchane przezemnie barwne opisy dwóch epizodów.

Pan B. człowiek w wieku już bardzo poważnym opowiada:

„Przed wieloma laty, pewnego pogodnego jesiennego poranka, podłożyłem dwa moje pieski w krzakach na terytorjum gminy Pietnica w okolicy między dzisiejszemi stacjami kolei Dobromil i Posada Chyrowska, nad rzeką Wyrwą. Psy odrazu „trafiły“ zwierza, lecz zanim mogłem zabiegnąć, uniosły się wprost na Buniowski Radycz (najwyższa góra w tej okolicy) tak, że nie widziałem nawet, co gonią. Siedliśmy więc z towarzyszącym mi chłopakiem na szkapy i pognaliśmy w górę za psami i ich głosem. Gdy wydrapaliśmy się na Radycz, psy chodziły już za zwierzem po lasach Posady nowomiejskiej. Zajechałem im z frontu na kamiennej drodze, ale gon mnie ominął i przeszedł poniżej w Wołczeński Radycz, więc znowu galop wdół na drogę wiodącą z Wołczy do Chyrowa, w nadziei wyprzedzenia zwierza, lecz gdy i ten manewr zawiódł, postanowiłem dać za wygranę i wyczekać na tej drodze, aż psy wrócą.

Czas było wypocząć, mijała już godzina dziesiąta a przed siódmą psy puściłem, skwar zaczynał dokuczać i pomęczeni byliśmy i my i szkapy. Przez trzy godziny przeszło wodził ten zwierz niesamowity psy bez chwili wytchnienia, przez debry i potoki z dołu w górę i z góry w dół, psy ani na chwilę się nie zacięły, lecz głos ich szedł z pełnej piersi aż serce rosło, a ani daj Boże dojść do spotkania.

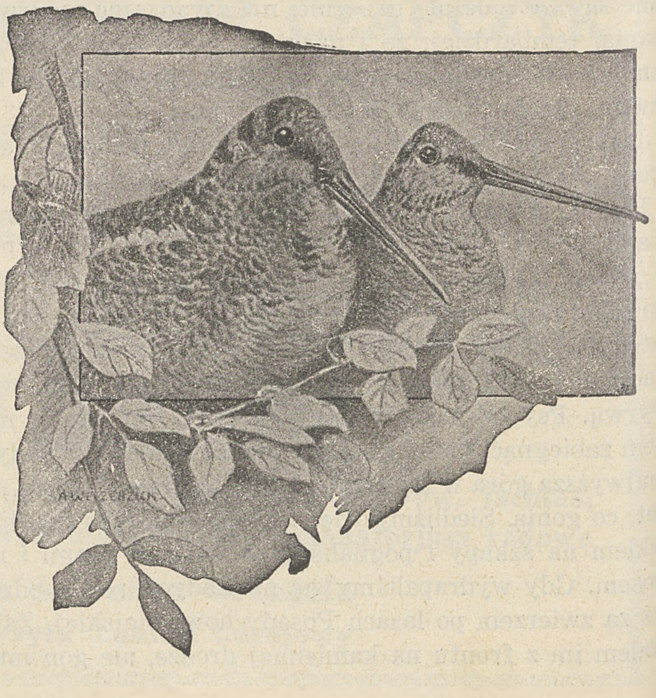
Usiadłem na kraju drogi, pociągnąłem parę łyków z manierki, zagryzłem suchą kiełbasą, wypaliłem fajkę jedną i drugą — psy nie wracały. Trzeba jechać je szukać a może i spotkać się jeszcze z tym zwierzem, wodzącym mnie za nos od rana.

Jak wiecie, od drogi, na której stałem, ciągnie się wąski pas lasów ku wschodowi, obejmując część lasów Wołczy dolnej, Słochyń, Grodowic, aż kończy się lasami Błozwy górnej, za któremi są już tylko pola i olbrzymie błota ciągnące się w dal aż do Dniestru. Z jednej i drugiej strony pola, las wąski, z tyłu bagna. W tym worku są gdzieś moje psy — właśnie rozmyślałem, co mi czynić wypada, gdy wozem z góry od Posady Chyrowskiej nadjechał chłop wołami i ujrzawszy mnie, zatrzymał się

i opowiada, że jadąc, słyszał nad dworem słochyńskim w t. zw. „Kruszynie" ogromny psi rejwach w lesie, że widać psy goniły zwierza na oko, że gon od czasu do czasu ustawał a natomiast słyszeć się dawało zażarte ujadanie w miejscu; widocznie zwierz już zmęczony stawiał się psom i te go oszczekiwały. Pognałem w górę ku polom a wydostawszy się na nie, skręciłem w lewo i jadąc pod samą ścianą lasu, zbliżyłem się do tej części zwanej kruszyną, w której chłop miał rzekomo słyszeć moje psy.

W Kruszynie było cicho, na dole w folwarku słochyńskim kołatano na południe, pognałem dalej już lasem ku granicy lasu Grodowickiego i przystanąwszy tam chwilę obok olbrzymiego dęba rosnącego w samej granicy między lasami Wołczy i Grodowic, wytężałem słuch, czy nie dojdzie mnie głos moich piesków. I rzeczywiście z wielkiego oddalenia z dołu z nad pól wołczańskich usłyszałem słaby lecz wyraźny gon i runąłem w dół co siły w końskich nogach, by dostać się jak najprędzej nad potok dzielący lasy Wołczy i Grodowic od Jedliny Błozewskiej, lecz i tu zwierz mnie wyprzedził i usłyszałem tylko cichnące głosy ogarów w głębi błozowskich lasów. Miałem tej gonitwy dosyć, wiedziałem, że zwierz nawrócić musi, gdyż błozewski las był ostatnim przylądkiem tych lasów, otoczonym zewsząd polaną a tylko krótką ścianą łączący się z lasami, które dopiero przebyłem — z jednej strony wrzynały się głęboko w las pola wąskiem pasmem, z drugiej czynił to samo staw należący do Grodowic, tak, że ta cała ściana miała niespełna dwieście kroków szerokości. Był to znany i doskonały przesmyk wszelkiej zwierzyny, przed chwilą goniony zwierz go przeszedł i tędy wracać musiał. Zeskoczyłem z konia, oddałem go chłopakowi, a sam pobiegłem wdół do miejsca, gdzie staw grodowicki zaczynał się wśród lasu małem zarośniętem bagienkiem. Stanąłem w lesie grodowickim frontem do Błozwi tuż nad tem bagienkiem na pagórku. Przed sobą miałem bezpośrednio szuwary i zielono świecące oko bagienka, za niem znowu trzciny i szuwary i przeciwległy pagórek już błozewski, porośnięty starą mocno podszytą jedliną. Prawą stronę miałem zabezpieczoną głębokim stawem, na który zwierz nie pójdzie, lewą gołem polem, na które żaden zwierz chętnie nie wytykał — więc na krótkim leśnym przesmyku, na którym stałem, miałem wielkie szanse spotkania się ze zwierzem, wreszcie kierując się głosem psów, mogłem, gdyby było potrzeba, podbiegnąć w jedną lub drugą stronę. Co do rodzaju zwierza, szukałem najrozmaitsze przypuszczenia, że to ani zając, ani lis, ani sarna, wiedziałem z góry, bo żadne z tych zwierząt nie mogłoby się psom postawić i psy nie byłyby je atakowały w miejscu, jak to słyszał ów chłop spotkany na wołczańskiej drodze, dzik to nie był także, bo przy dziś panującym upale, byłby już dawno się zmęczył i byłbym go z łatwością dojechał lub doszedł — więc cóż? Jeleń, ryś, wilk? Gubiłem się w przypuszczeniach. Minęło dobre pół godziny, odkąd zająłem moje stanowisko, gdy doszedł mnie pierwszy głos moich piesków. Gon zbliżał się wyraźnie ku mnie, chwilami przechodził w zajadłe ujadanie, by znowu wkrótce przejść w normalny pościg. Drżałem jak w febrze, choć byłem już wtedy wytrawnym myśliwym, mającym na sumieniu sporo dzików i kilka wilków, ale wobec tego „nieznanego" mającego mi się lada chwila ukazać, opanowało mnie takie wzruszenie, że moja kochana Lepage'ówka nabita grubemi lotkami chwiała mi się w ręku, jak trzcina od wiatru. Siłą woli hamowałem bicie serca i powoli zdobywałem się na konieczny spokój. Gon zbliżał się coraz wyraźniej, zwierz szedł na przesmyk, lecz nie wprost na mnie, tylko powyżej ku polu. Podbiegłem w górę potoka kilkadziesiąt kroków. Gon doszedł do mnie na odległość może sześćdziesięciu kroków i w tej chwili zwrócił się wdół potoka równolegle do niego, więc i ja drugą stroną posunąłem się z powrotem na poprzednie stanowisko. Tymczasem naprzeciw mnie rozpętało się całe piekło. Zachrypnięte psy wyły aż fistułą ze złości, słyszałem łamanie i szum gałęzi, ale dojrzeć niczego nie mogłem, pchać się w ten gąszcz nie było poco i było zbytecznem, wobec tego, że zwierz lada chwilę wytknąć musiał. Opanowawszy się jako tako z gotową do strzału bronią, czekałem. Dziwiło mnie to, że słyszałem tylko psy a żadnego innego głosu. Wiadomo, dzik „fuka" i kłapie kłami, żbik i ryś parskają, wilk kłapie również „kłańcami" i warczy — tymczasem tajemniczy zwierz nie puszczał pary z pyska.

Wtem jeden z psów kwiknął i w tej chwili obydwa natarły ze zdwojoną furją. Zatrzeszczały naprzeciw mnie krzaki i na urwisku nad bagienkiem o trzydzieści kroków odemnie ukazał się zziajany i zapieniony, z otwartą paszczą i błyszczącemi w niej setkami białych zębów i z wywalonym ozorem... szczupak! Jak kłoda! I nim ochłonąłem z podziwu, potwór jednym susem rzucił się z urwiska wprost w środek będącego przedemną bagienka, aż obryzgały mnie szlam i woda. Rozstąpiły się fale, zakołysały się długim pasem trzciny w kierunku stawu i było... po wszystkiem. (C. d. n.)



JANUSZ DOMANIEWSKI

Kilka uwag na temat naszej gospodarki łowieckiej

Do tego, by w danym kraju mogło się rozwinąć łowiectwo we współczesnem znaczeniu tego słowa, trzeba kilku warunków. Przedewszystkiem więc dany kraj musi mieć odpowiednie warunki fizjograficzne, po drugie ludność musi mieć tradycje łowieckie i zamiłowanie do łowiectwa, po trzecie kultura musi stać na odpowiednim poziomie.

Mało jest krajów w Europie, któreby posiadały tak idealne warunki fizjograficzne dla łowiectwa, jak te, które posiada Polska. O ile zaś chodzi o mnogość gatunków zwierzyny, to jesteśmy bodaj w położeniu wyjątkowem, na co wpływa naturalnie tak różnorodne ukształtowanie powierzchni kraju. Weźmy bowiem pod uwagę terytorja zachodniej Polski z jej wysoko stojącą kulturą rolną, tak kapitalnie nadającą się do hodowli zwierzyny drobnej, a mianowicie: zająca, kuropatwy, bażanta, sarny. Zwróćmy się stamtąd na kresy wschodnie, gdzie niedźwiedź, łoś, dzik i głuszec znajdują poprostu wyjątkowe warunki bytowania. Udajmy się w Karpaty, gdzie rykowiska jeleni były przed wojną sławne na świat cały. W Tatrach mamy świstaka i kozicę, na wschodzie bobra, na zachodzie dropia, w południowych górach niedźwiedzia i rysia. Olbrzymie przestrzenie błot i stawów, nie mówiąc już o Polesiu, są prawdziwem Eldorado ptactwa błotnego i wodnego. Krótko mówiąc, Polska ma tak idealne warunki naturalne, że przy minimalnym wysiłku może zająć zupełnie wyjątkowe i przodujące stanowisko w łowiectwie światowem.

Niestety dzieje się coś wręcz przeciwnego. Nie tylko, że stoimy pod względem kultury łowieckiej bardzo nisko, ale od czasu uzyskania niepodległości cofnęliśmy się wstecz bardzo znacznie.

Na kresach łoś i niedźwiedź prawie wyginęły, a jeśli się utrzymują, to tylko dzięki nadludzkim wysiłkom jednostek, względnie Towarzystw myśliwskich, które już nie dla polowania, a poprostu z pietyzmu dla przyrody je ochraniają. W Karpatach stan jeleni obniżył się do rozmiarów zastraszających. Produkcja drobnej zwierzyny zmalała do minimum: tereny, na których w ciągu jednego dnia bije się po kilkaset zajęcy, należą dziś poprostu do wyjątkowych.

Z przykrością stwierdzić należy, że przed wojną było znacznie lepiej i to we wszystkich trzech dzielnicach Polski.

Czemu więc należy przypisać upadek łowiectwa w odrodzonej Polsce? Naturalnie w pierwszym rzędzie wojnie, która zniszczyła zwierzostany na znacznej przestrzeni kraju. Ważniejszą jednak przyczyną było zdezorganizowanie życia gospodarczego wogóle i bezład, który panował przez lat szereg.

Niemniej jednak obecnie doszliśmy już do stanu równowagi w gospodarce rolnej i leśnej, a łowiectwo kuleje nadal i nawet do stanu przedwojennego podciągnąć się nie może. Muszą więc istnieć jakieś głębsze i trwałe przyczyny tego niedomagania.

Otóż przyczyn tych jest cały szereg. Przedewszystkiem więc nieuświadomienie społeczeństwa, które nie zdaje sobie sprawy z doniosłości ekonomicznego znaczenia łowiectwa, uważając je jedynie za zabawkę, na którą mogą sobie pozwalać głównie możni tego świata. Po drugie niedocenianie łowiectwa ze strony miarodajnych sfer rządzących. Po trzecie złe ustawodawstwo i pobłażliwość administracji oraz sądów w karaniu kłusownictwa.

Ciekawem jest, że to samo Ministerstwo Rolnictwa, które tak baczną uwagę zwraca na rybołówstwo i docenia w zupełności jego znaczenie, na łowiectwo spogląda z zupełnem lekceważeniem. Podczas gdy sprawy rybactwa powierza się tam fachowcom, zoologom wyspecjalizowanym w danej dziedzinie, to sprawy łowiectwa referują ludzie, zaangażowani zupełnie przygodnie, niejednokrotnie o łowiectwie i jego metodach nie mający zupełnie wyobrażenia.

Czem łowiectwo mogłoby być dla Polski? By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba uprzednio zaznajomić się z łowiectwem innych krajów. W tym celu przytoczę tu nieco danych statystycznych, wglądnięcie w które pozwoli nam oprzeć nasze wnioski na konkretnych danych.

Jak z danych statystycznych wynika, przynosiło łowiectwo w Rosji przed wojną około 300 miljonów rubli. Cyfra imponująca, a jednak zaznaczyć trzeba, że Rosja pod względem łowieckim stała bardzo nisko i że rezultat ten osiągany był głównie przez łowiectwo dzikie, niekulturalne. Gdyby Rosja pod względem łowieckim była eksploatowana należycie, wyżej wymieniona cyfra wzrosłaby wielokrotnie.

We Francji wartość zabitej zwierzyny wynosiła 60 miljonów franków. W Anglji koszty polowań wynosiły rocznie 6,5 miljonów funtów. W Niemczech wartość zabitej zwierzyny sięgała 40 miljonów marek. W Austrji, która pod względem łowieckim stała najwyżej w Europie, cyfry te są stosunkowo jeszcze wyższe. Tak więc Austrja eksportowała zwierzyny za 73 miljony koron, przy imporcie nie sięgającym dwóch miljonów.

Interesującem jest zestawienie ilości zwierzyny, zabijanej w Austrji. Tak więc zabijano tam rocznie 17.000 jeleni, 100.000 sarn, 1,700.000 zajęcy 2 miljony kuropatw i t. d.

WAustrji w dziedzinie łowiectwa znajdowało zajęcie przeszło 36.000 ludzi (strzelcy, dozorcy polowania i t. p.).

Z kart myśliwskich miał skarb państwa w Austrji w roku 1907 przeszło 600.000 koron, we Francji dochód skarbu z kart myśliwskich i podatków od psów myśliwskich wyniósł w roku 1903 przeszło 20 miljonów franków.

Znamiennem jest, że drobna własność ustosunkowuje się u nas do łowiectwa nieprzychylnie. Ściślej mówiąc, nie drobna własność, która jest raczej obojętna, a jej

reprezentanci sejmowi. Dla nich łowiectwo jest jednym z młynów demagogicznych. Młyn ten iść musi, chociażby kosztem interesów wyborców. Ważnem więc jest zdanie sobie sprawy z tego, jak wielkie szkody ponoszą małorolni przez zaniedbanie łowiectwa.

Według danych urzędowej statystyki bawarskiej czynsz z gminnych polowań wynosił tam w roku 1898 przeciętnie 37 fenigów za hektar, w roku 1908 — 63 fenigi. Poszczególne polowania dochodziły nawet do 1 marki 80 fen., a w Palatynacie nie rzadko do 3 marek za hektar.

Z czynszów dzierżawnych mają więc gminy w Niemczech poważny dochód, który obracany jest na oświatę, budowę dróg i inne kulturalne potrzeby gmin.

Jak dochód ten mógłby wyglądać w Polsce? Według danych z roku 1921 do drobnej własności (poniżej 30 ha) należało ogółem 24,645.200 ha. Jeśli przyjmiemy, czynsz dzierżawny po 30 groszy za hektar, to da nam to w przybliżeniu sumę 7,000.000 złotych. Suma ta podzielona na 277 powiatów daje powyżej 25.000 zł na powiat. Proszę zważyć, jak kolosalne znaczenie miałoby obrócenie tych pieniędzy na bibljoteki szkolne, których brak stanowi jedną z największych bolączek naszej oświaty.

Dochód drobnej własności z polowania nie ogranicza się jednak tylko do czynszu dzierżawnego. Dodać tu jeszcze należy różne inne pozycje budżetu danego gospodarstwa łowieckiego, które wyglądają bardzo poważnie, jeśli zwrócimy uwagę na fakt, że wydatki idące na dzierżawę terenów łowieckich są stosunkowo niewielkie w porównaniu z wydatkami na karmienie zwierzyny, utrzymanie straży, naganki, furmanki i t. p.

Wielka własność, według danych z roku 1921, obejmuje w Polsce obszar 14,186.600 ha, z czego na majątki państwowe wypada 3,341.800 ha. Przy tenucie dzierżawnej 30 groszy z hektara dochód państwa z samych czynszów winien wynieść mniej więcej 1 miljon złotych. Suma to poważna o tyle, że część jej można łożyć na zorganizowanie łowiectwa w kraju. Podniesienie zaś łowiectwa pociągnie za sobą naturalnie znaczne zwiększenie dochodów skarbu państwa w przyszłości.

Z kolei wypadnie się zastanowić, jaką produkcję zwierzyny można osiągnąć w Polsce.

Przyjmijmy, że do hodowli zająca w Polsce nadaje się 20 miljonów hektarów. Otóż nie jest zupełnie przesądzona możność odstrzału z 4 hektarów rocznie jednego zająca. Jeśli przyjmiemy, że przeciętnie zając dostarcza 2 kg mięsa, to razem hodowla zajęcy winna dostarczyć Polsce 10 miljonów kilogramów mięsa rocznie.

Teraz sarna. Jeśli przyjmiemy, że w Polsce na hodowlę sarn nadaje się 8 miljonów ha i że z każdych 50 ha można odstrzelić rocznie jedną sztukę, to wypadnie, że Polska może produkować rocznie mniej więcej 150.000 sarn. Obliczając ze sztuki 10 kg mięsa, otrzymamy półtora miljona kilogramów mięsa sarniego rocznie.

Jeśli dodamy do tego produkcję mięsa z pozostałej zwierzyny, to nie wdając się już w szczegółowe obliczenia, otrzymamy ogólną produkcję mięsa ze zwierzyny przynajmniej 12 miljonów kg rocznie. Zaznaczyć jednak trzeba, że cyfra ta jest raczej za mała.

Niezależnie od produkcji mięsa, łowiectwo ma jednak i inne znaczenie ekonomiczne. Szeroko rozwinięte pociąga ono za sobą rozwój specjalnego przemysłu. Daje ono utrzymanie nietylko całej rzeszy ludzi bezpośrednio z niem związanych, ale zatrudnia również znaczną ilość robotników w przemyśle tym pracujących.

Nad sportowem znaczeniem łowiectwa nie będę się tutaj rozwodził; jest to rzecz sama przez się zrozumiała.

Jakiemi drogami należy jednak iść w kierunku odrodzenia naszego łowiectwa i do doprowadzenia go do należytego poziomu?

Otóż przedewszystkiem rząd powinien wziąć tu inicjatywę w swoje ręce. Jeśli w analogicznej dziedzinie gospodarstwa, jak to wyżej już podkreśliłem, a mianowicie w rybactwie, uczyniono już tak wiele, to można to uczynić i w łowiectwie.

W Departamencie Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych istnieje referat łowiectwa. Referat ten niestety nie spełnia należycie swego zadania. Zaznaczyć zresztą należy, że referent spraw łowieckich w obecnym stanie rzeczy nie wiele zdziałać może. W gruncie rzeczy czynności jego sprowadzają się do nadawania pewnego kierunku w zakresie gospodarki łowieckiej w lasach państwowych. Natrafia on często przytem na trudności zarówno ze strony swych władz zwierzchnich, jak również i ze strony prowincjonalnych Dyrekcyj Lasów Państwowych i nadleśnictw, gdzie brak należytego uświadomienia w łowiectwie i gdzie odnośne sprawy załatwiają często ludzie zupełnie nieprzygotowani.

W Ministerstwie Rolnictwa należałoby więc utworzyć specjalny urząd do spraw łowiectwa o kompetencjach znacznie większych, niż je posiada obecny referat. Niewątpliwie należytem rozwiązaniem zagadnienia byłoby jedynie utworzenie osobnego departamentu łowiectwa i rybactwa z dwoma wydziałami. Departament ten miałby za zadanie nie tylko gospodarkę łowiecką i rybacką na terenach państwowych, ale również prowadzenie ogólnej polityki w zakresie tych dwóch dziedzin. Dodam, że w zakres działalności tego departamentu wchodzić powinny również sprawy ochrony przyrody w dobrach państwowych. Już obecnie na terenach dóbr państwa istnieje szereg rezerwatów. Otóż gospodarka w tych rezerwatach winna być objęta przez ten właśnie departament.

Trudności w zorganizowaniu wydziału łowiectwa polegałyby przedewszystkiem na braku sił wykwalifikowanych. Rzecz bowiem zrozumiała, że podobnie, jak to ma miejsce w organizacji rybactwa, w wydziale tym muszą pracować zoologowie — specjaliści od wyższych kręgowców (ptaki i ssaki), mający poza tem specjalne przygotowanie w dziedzinie łowiectwa. Jest to sprawa jasna, nie wymagająca przytaczania argumentów. A jednak dzieje się inaczej. Ministerstwo Rolnictwa, bagatelizując łowiectwo, nie zwraca uwagi przy angażowaniu

referentów łowiectwa na ich kwalifikacje zawodowe. Wprawdzie specjalistów takich brak jest u nas, ale przez czas istnienia Ministerstwa Rolnictwa można ich było wszak wyszkolić.

Teraz kilka słów o uświadomieniu społeczeństwa. Przedewszystkiem należy wprowadzić, jako obowiązkową, naukę łowiectwa we wszystkich szkołach rolniczych i leśnych. Wprawdzie łowiectwo jest i obecnie w wyższych szkołach leśnych wykładane, jednak jako przedmiot nieobowiązkowy i jest wogóle traktowane po macoszemu. Tu znów przeprowadzenie porównania z rybactwem wypada na niekorzyść łowiectwa.

Brak wyszkolenia personelu leśnego odbija się fatalnie na gospodarce łowieckiej poszczególnych rewirów. Szczególniej w lasach państwowych, które powinny być wzorem dla rewirów łowieckich całego kraju, panują stosunki fatalne. Naogół między dzierżawcami rewirów łowieckich i administracją leśną wre cicha wojna, rezultatem której jest zniechęcenie dzierżawców i fatalny zwierzostan. Na omawianie zwierzostanów i gospodarki łowieckiej w rewirach, zarezerwowanych dla administracji leśnej szkoda poprostu słów. Rezultaty polowań reprezentacyjnych są kompromitujące, a pamiętać należy, że na polowaniach tych bywają ambasadorowie i posłowie, którzy w innych państwach, przyzwyczajeni są do czegoś zupełnie odmiennego.

Specjalną uwagę należałoby zwrócić na uświadomienie ludu. W szkołach początkowych, gdzie powinny być prowadzone pogadanki o ochronie przyrody, omawianie na tych pogadankach spraw związanych z łowiectwem (ochrona zwierzyny) miałoby bardzo duże znaczenie. Niekulturalność ludu naszego w stosunku do zwierzyny jest ogromna. Ssaki łowne, ptaki i ich jaja, niszczy się na wsi przy każdej sposobności i wszelkiemi sposobami; kłusownictwo nie jest uważane za przestępstwo. Ten stan musi jak najszybciej uledz zmianie. Tu szerokie pole działania poza Ministerstwem Oświaty, ma, pracujący zresztą bardzo wydajnie, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich. Wydanie broszury o łowiectwie, napisanej specjalnie dla ludu, broszury, która się winna znaleźć w każdej bibljotece, w ręku każdego nauczyciela ludowego, jest rzeczą nieodzowną i bardzo pilną.

Niemniej ważnem jest uświadomienie sądownictwa i administracji. Cała praca hodowców zwierzyny, wszelka walka z kłusownictwem na nic się nie przyda, jeśli władze administracyjne i sądy, sprawy o kłusownictwo będą bagatelizować. W tym kierunku głosy całego społeczeństwa myśliwskiego i głosy policji są zupełnie zgodne. Kłusownicy łapani na przestępstwie, względnie tak obciążeni materjałem dowodowym, że wina ich nie ulega wątpliwości, są karani nazbyt łagodnie, a niejednokrotnie zupełnie uwalniani. Zniechęca to policję i straż łowiecką do pracy i to pracy ciężkiej, połączonej niejednokrotnie z niebezpieczeństwem życia, kłusownikom zaś dodaje bodźca do dalszych przestępstw.

Dużo winy leży tu naturalnie w ustawie łowieckiej. Zapewne o ile chodzi o niektóre prowincje Polski, w szczególności o były zabór rosyjski, ustawa ta (Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r., o prawie łowieckiem) jest pewnym postępem. Naogół jednak jest zła, to znaczy zawiera tyle błędów i niedomagań, że uniemożliwia normalną gospodarkę łowiecką. Należałoby ją jak najprędzej znowelizować.

Reasumując wyżej powiedziane:

1) Polska posiada warunki dla rozwoju łowiectwa poprostu idealne i w krótkim czasie mogłaby na tem polu zająć stanowisko przodujące w Europie.

II. Ekonomiczne znaczenie łowiectwa w Polsce jest niedoceniane i to zarówno przez czynniki rządowe jak i przez społeczeństwo. Rezultatem tego jest fatalny stan naszej gospodarki łowieckiej.

III. Dla podniesienia łowiectwa należy:

1) Zorganizować w Ministerstwie placówkę, któraby zajęła się nietylko gospodarką łowiecką w dobrach państwowych, ale również dawałaby wytyczne ogólnej gospodarce łowieckiej w całym kraju.
2) Wytężyć wszystkie siły (Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Rolnictwa, organizacje łowieckie) dla uświadomienia społeczeństwa o znaczeniu łowiectwa.
3) Przeprowadzić należytą ustawę łowiecką.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że na postulaty te zgodzi się całe społeczeństwo łowieckie w Polsce. — I dopóki postulaty te nie zostaną zrealizowane, w tej dziedzinie gospodarki będziemy szli za innemi kulturalnemi państwami Europy na szarym końcu.



JAROSŁAW HUBALEK

GENERAŁ

sylwetka karpackiego dzika

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Tego dnia gajowy obchodził rewir, aby się przekonać, czy czasem wilki nie przeszły na południową stronę w ślad za sarnami, które tu właśnie miewają swą zimową ostoję. Znalazł ślad podwójny i nachylił się, żeby lepiej go zbadać. Bo nie każdy wilk zostawia tensam ślad. Jeden większy inny mniejszy. Kaleka powłóczy nogą, chodzi na trzech, lub jedną nogą stąpa słabiej. Biegły

gajowy po śladzie odróżni znaną mu sztukę, nie widząc jej na oczy. I tu po bliższem rozejrzeniu się, ślad zdradził przejście Burka, po braku krajnego pazura, który mu kiedyś żelaza przecięły. Ucieszył się gajowy, mając z Burkiem dawne porachunki i uknuł coś chytrego, bo nagle zawrócił z powrotem. Wtem w młodym gąszczu jasno oświetlonym rannem słońcem ujrzał dwa dziki — matkę z młodem. Poznał je. Przypomniał sobie, że w lesie odstrzelił od jednej lochy cztery warchlaki, a piątego dobił leśny, tak, że został tylko jeden. Niewątpliwie więc, są to one. Strzelać nie miał zamiaru, raz, że było za daleko, powtóre, niepotrzebnie spłoszyłby wilki, które przypuszczalnie są w miocie. Pozostawił w spokoju dziki i pospieszył z raportem do leśnego. W pół godziny postawiono na nogi sześciu naganiaczy, a że brakło strzelców, dobrano starego emerytowanego gajowego i wyruszono. Słonko dogrzewało w najlepsze, gdy locha posłyszała jakieś podejrzane głosy. Wiedziała od razu, co się święci, chociaż nie chodziło tu o nią, tylko o wilki. Nie namyślając się, szybkim kłusem pobiegli w górę. Nieszczęściem, stary gajowy stał o trzydzieści kroków od jej przechodu. Doświadczony myśliwy, nie spodziewał się już wilków, a nie chciał puścić lochy bez strzału.

W chwili, gdy stanęła, orjentując się, z za grubego buka huknął strzał i locha z głuchym jękiem zwaliła się w śnieg. Oszalały ze strachu młodziak rzucił się do ucieczki. Zagrzmiał drugi strzał, garść ziemi ze śniegiem zasypała mu oczy, rwał jednak na oślep dalej. Za sobą słyszał wyraźnie dwa głośne klapnięcia ryjem, potem jeszcze jeden strzał. Nie domyślał się nawet, biedny sierota, że tym strzałem dobijano jego matkę i jedyną opiekunkę. Na miejsce strzałów nadszedł leśny. Wiedział z góry, że strzelano do dzików, a czy wilki wyszły, czy wogóle nie było ich w miocie, to się później okaże. Ze swego stanowiska widział lochę z młodem idącą pod górę. Znał ją i chciał oszczędzić, ponieważ swoje prawo do życia hojnie okupiła śmiercią prawie całego potomstwa. Toteż zaklął głośno, usłyszawszy w górze strzały. Staremu zrobił ostrą wymówkę, choć może niesłusznie. Zapomniał, że niema przed sobą podwładnego, tylko eks-gajowego, a obecnie rolnika, w którym na widok dzików przemówić musiała chęć odwetu za wszystkie doznane spustoszenia w polach. Prócz tego strzał do dzika nie był przed miotem wymówiony. Ale też było samo przez się zrozumiałe, że wilk, jako równie czujny, a znacznie ruchliwszy, wychodzi z miotu, na strzał zawsze przed dzikiem, że zatem strzałem do dzika nigdy nie zepsuje się strzału do wilka. Pohamował się więc leśny i poszedł zobaczyć zdobycz. Kula z zardzewiałej strzelby starego rozbiła losze krzyż, druga była posłana za warchlakiem bezskutecznie, trzecią dostała znów locha w głowę. Przewrócono trupa na drugi bok. Na zadniej pieczeni widniała zabliźniona rana, widocznie kulowa, ponieważ pocisk naruszywszy kość, co wyczuć można było pod ręką po jej zgrubieniu, wyszedł przestrzałem. Czyj to strzał? Ze straży leśnej nikt nie strzelał kulą do lochy. Chyba jakiś kłusownik... Na pewno Mikuła. Wszak sam się przyznał leśnemu, że postrzelił wtedy grubą sztukę od warchlaka. W ten sposób wyjaśniła się historja całej rodziny. Z licznego gniazda pozostał wśród ostrej zimy mały sierota, sam jeden. I tego jeszcze wieczora otrzymali gajowi ostry nakaz leśniczego, oszczędzania samotnego knurka.

V.

Nic dziwnego, że sierota nie tęsknił po matce zbyt długo. Sentymentalizm ustępuje u zwierząt prawom życia. Śniegu napadało wyżej, trzeba było myśleć o pożywieniu coraz trudniejszem do zdobycia. Zaprzestał więc długich i dalekich wycieczek, przebywał stale w rewirze, żywiąc się bez wyboru wszystkiem, co pod ryjek wpadło. Za to spokój panował zupełny. Nikt nie zachodził, chyba niekiedy gajowy, a i ten nie zbaczał w las ze ścieżki strażniczej. Północno zachodnie strony nie nęcą jelenia i sarny, a co za tem idzie i wilka — nasz młody pustelnik żył tu więc, jak pan i władca niepodzielny, boć nie bierze się pod uwagę dzięciołów i sikorek, ani starego samotnika-borsuka, zakopanego pod niedaleką brzozą w zimowem leżu.

Dzięcioły i sikorki były w ciągłym ruchu. „Doktorzy" od samego rana opukiwali do późnego wieczora każdy pień podejrzany. Falistą linją zleciał taki „doktorek" na buk, ostremi pazurkami uczepił się kory, podparł twardym ogonkiem i już był gotów do operacji. To jednem to drugiem czarnem oczkiem zbadał chore miejsce, podniósł klinowaty dzióbek i głośne „ratatatata"... niosło się po lesie, jak z kulomiotu. Znów oczkiem zbadał wynik, poczem na nowo pukaniem wołał larwy podskórne na sąd ostateczny. Płochliwym dzięcioł nie jest. Stój bez ruchu — a pukać będzie i na pięć kroków od ciebie. Towarzystwa nie lubi, operacje przeprowadza bez asystentów.

Za to sikorki — to prawdziwe kłótliwe dzieci. Po pięć, po dziesięć latają z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź, jak cyrkowi akrobaci. Oczęta czarne świecą jak djamenty. Wielkiem świętem jest dla nich znalezienie padliny. Mięso umieją oskubać z niej tak misternie i szybko, że przyjemnie na to patrzeć. Leśne pszczoły ich nie lubią. Bo też sikorki pukają do ich dziupli tak długo, aż jedna wyleci na zwiady, co się dzieje. Wyleci, lecz nie wróci. Za nią druga, trzecia i tak dalej. Nie potępiajmy jednak małych sikorek — bieda i głód — to źli doradcy. — Wiewiórek tu nie widać. Raz dla obfitości kun, powtóre dlatego, że porządna wiewiórka w zimie po lesie nie biega. Jednostajna, rozległa i zimna puszcza jej się nie podoba. Kożuszek zamiast czerwonego, nosi szary, nie różniący się barwą od kory bukowej. Gniazd nie buduje — bo i po co? Czyż mało w puszczy wypróchniałych buków? — Pospolitą jest tu kuna. Cisza leśnej głuszy jej nie odstrasza — przeciwnie, podoba się. W dzień śpi, w nocy poluje, idąc częściowo dołem po ziemi, częściowo górą po gałęziach. Łowi wszystko, od myszy do sarnięcia, od suchej śliwki do leśnej pszczoły. W rewirze młodego generała mieszkała śliczna samiczka ku-

nia. Miał wprawdzie Generał chrapkę na nią, ale kuna była ostrożna. Z wysokiej gałęzi szczerzyła jeno ostre ząbki, on zaś nie posiadał się z bezsilnej złości.

W zupełnym spokoju, przetrwał Generał zimę, pod grubą warstwą śniegu, buczyny i myszy było dość — wyglądał więc wcale dostatnio. A gdy wiosna dopominać się poczęła swych praw, i w dolinach śniegi spłynęły brudnemi potokami, jęły czernieć i wysokie lasy. — Śnieg miękł, zsiadał się, tu i ówdzie sączyły się nitki wody, spieszące w doliny. Nasz samotnik poczuł pewną ulgę, jak wszelki zwierz leśny. Sarny i jelenie ciągnęły w górę na letnie stanowiska. Silniejsze samce już bez rogów, lub z jednym, by zrzucić go tu lada dzień.

(C. d. n.)



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

Tłum. z angielskiego A. M.

(W Kolumbji brytyjskiej. Niedźwiedź. Caribou)

(Ciąg dalszy)

Podniósłszy wizjer na 300 yardów, zacząłem wyczekiwać i sprawdziło się to, com przewidywał! Niedźwiedź się zatrzymał, spojrzał naokoło siebie, potem w dół, a w tej chwili wystrzeliłem: niedźwiedź zaczął się toczyć z góry wierzgając i rycząc przeraźliwie. Jeszcze jeden strzał a leżał już spokojnie, jak kamień.

Ponieważ wiedziałem od starych myśliwych polujących na niedźwiedzie, że niebezpiecznie jest zbliżać się do ranionych, byliśmy więc ostrożni podchodząc do niego, ale ta przezorność okazała się już zbyteczną, bo niedźwiedź był już martwy.

Strzał mój szczęśliwie trafił go prosto w serce, tak że można się było obejść bez drugiego strzału. Zbadałem przytem, że z pięciu moich strzałów, trzy były udane. Niedźwiedź był samcem, szarawy, ale nie bardzo wielki. Futro jego było nadzwyczaj gęste i pierwszej jakości, miejscami z białemi lub jasnemi plamami a włos jego naokoło szyi był zupełnie jasny. Innemi słowy, według narzecza tamtejszego, był to „Srebrny Szpic“ szarak.

Z powodu spóźnionej już pory dnia, wypatroszyliśmy tylko niedźwiedzia i pozostawiliśmy go, aby nazajutrz powrócić i zabrać go do obozu. Ponieważ zabrakło nam już zupełnie mięsa na pożywienie, zabiłem w powrotnej teraz drodze kilkadziesiąt pardw, co nie przedstawiało żadnej trudności, gdyż ptaki te szły przed nami wielkiemi stadami i tak się nas nie bały, że z trudnością przychodziło mi zmusić je do poderwania się do lotu, czemu się Dennis niepomiernie dziwił, nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie strzelam do siedzących. Nic dziwnego, że tutejsi mieszkańcy używają rzadko cięższych sztucerów, gdyż lekki kal. 22, wystarcza zupełnie, a unikają tym sposobem obciążania się ciężkiemi ładunkami. Do zabijania dzikich ptaków Indjanie posługują się łukami z zatrutemi strzałami lub poprostu używają kamienia, gdy na razie broni nie posiadają.

Zmusiłem Dennisa, aby mi nieco opowiedział o sposobach, jakich używają Indjanie do łapania pardw i uważam, że są praktyczne i bardzo podobne do sposobów używanych przez włościan norweskich. Wyplatają długie płoty z wierzby, zostawiając w niektórych miejscach otwory, gdzie umieszczają pułapki czyli pętle z miedzianego lub mosiężnego drutu. Ptaki te, tak oswojone, że Indjanie z łatwością sprowadzają je do tych otworów, przyśpiewując im żałosne pieśni, z których urywek Dennis mi zanucił. Póty ptaki powracają do tego płotu przy śpiewie Indjan, dopóki każda pętlica nie złapie jednego. Zdaniem Dennisa pieśń ta działa kojąco na ptaki i wstrzymuje je od podrywania się ich do lotu.

Widziałem później kiedyś Dennisa wodzącego stado pardw w tenże sposób do małego otworu, gdzie się z wyciągniętemi szyjkami wszystkie wtłaczały, a on z dziecinną radością pozabijał je z mojej dubeltówki. Dennis opowiadał mi jeszcze, że Indjanie z Tahltanu, znają specjalne pieśni dla każdego rodzaju zwierząt, na które polują i doznałem wrażenia, że te ich polowania połączone są z zabobonami, a także i z różnemi przytem ciekawemi ceremonjami.

Wogóle z trudem wielkim udawało mi się zmusić Dennisa do opowiadania mi różnych legend i obyczajów jego plemienia. Indjanie zachowują się zwykle podejrzliwie względem Białych, — może nawet i słusznie. Ciekawy jeden fakt mi opowiedział, a mianowicie, że dawniej nie było łosi w tych okolicach. Przybyły one z innych miejscowości, i to od niedawna.

P. Bryan Wiliams, w książce swej, którą wydał temi czasy, opisującą zwierzynę w Kolumbie Brytyjskiej wspomina również, że 30 lat temu było bardzo mało łosi w tej okolicy, ale, że Indjanie opowiadają o olbrzymich stadach „caribou“ włóczących się obecnie prawie wszędzie. Myślano przedtem, że Caribou przestały stopniowo istnieć, że miejsce ich zajęły łosie, a z powodu doskonałych warunków wyżywienia, te ostatnie rozmnożyły się do tego stopnia, że doszły aż na dalekie południe, do linji C. P. R.

O późnej godzinie powróciliśmy do obozu i zastaliśmy namioty rozbite w małej kotlinie, która przecinała szerokie pustkowie. Naokoło tej kotliny było dużo drzew wydających woń balsamiczną; dość było zrobić kilka kroków, aby się znaleźć w cieniu.

Jak się można było spodziewać, kucharz i Willi oboje byli uszczęśliwieni, żeśmy zabili niedźwiedzia i z tej radości urządziliśmy sobie małą ucztę, pijąc wódkę z mojej długiej podróżnej manierki.

Na nieszczęście, nad wieczorem wiatr się zerwał i deszcz padał naprzemian ze śniegiem przez całą noc, tak, że musiałem spać w mojem skórzanem łóżku (worku), gdyż miejscami namiot silnie przeciekał. Ta niepogoda trwała cały dzień do wieczora; na drugi dzień, gdy się wypogodziło wybraliśmy się ze wszystkimi Indjanami i dwoma obładowanemi końmi po skórę i mięso niedźwiedzie.

Gdy kucharz i Willy zajęci byli zdejmowaniem skóry, Dennis i ja udaliśmy się na szczyt Ostrej Góry, skąd Dennis, zawdzięczając swemu wybornemu wzrokowi, wypatrzył stado „caribou" w dali. Zliczyliśmy ich około 12 sztuk, ale nawet przez binokle nie mogliśmy rozpoznać czy były w stadzie duże byki. Ponieważ zapóźno już było podchodzić do nich, okrążyliśmy więc tylko górę i wróciliśmy do obozu; w drodze tej zabiłem znowu mnóstwo pardw, ale ponieważ zapas moich ładunków bardzo się zmniejszył, już więc zastosowałem się do rady Dennisa i strzelałem do siedzących, zabijając ich po kilka na strzał.

Na obiad kucharz upiekł kawałek niedźwiedzia, ale ponieważ był za suchy i twardy, zadowoliłem się pardwami.

W niedzielę rano pogoda była okropna. Mgła przytem słała się nisko na górach i w dolinach, tak, że dzień ten uważaliśmy za nieodpowiedni do podchodzenia „Caribou". Nie miałem jednak ochoty pozostawać w obozie, gdzie nie było co robić i chociaż wiedziałem, że w taki dzień Dennis nie lubi wychodzić z namiotu, koło południa jednak wyruszyliśmy na północ, gdzie mgła była rzadsza.

W drodze znajdywaliśmy czaszki i rogi „caribou", które według Dennisa, były zjedzone zapewne przez wilki przeszłej zimy. Śliczne to były okazy rogów, z nieco płaskiemi odnogami z gatunku leśnych Caribou, nie bardzo długie, ale na końcu bardzo rozpłaszczone z podwójną koroną obejmującą 35 pasemek. Zachęciło mię to ogromnie do poszukiwania takichże, tylko żywych okazów!

Renifer (Rangifer tarandus) nazywa się w północnej Ameryce „Caribou", którego odróżniamy dwie główne odmiany, tj. leśny i stepowy w różnych znów odmianach. Ostatni ogromnie jest zbliżony do renifera norweskiego i spotyka się go w ogromnych stadach daleko na północy do Oceanu i wokoło zatoki Hudsona. Jak nasze renifery, stepowe caribou odbywają wędrówki długie, stosownie do pory roku, ale rzadko kiedy przekraczają na południu 59° szerokości.

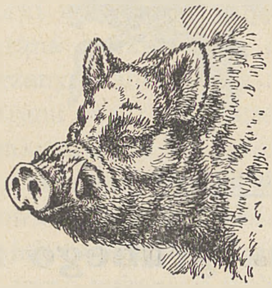
W porównaniu do leśnych Caribou, są one raczej mniejsze, a odnogi rogów są krągłe jak u reniferów.

Typowa odmiana leśnych Caribou zamieszkuje Nową Ziemię (Rangifer T. terra novae) i stały ląd zachodniej Kanady. Caribou z Nowej Ziemi jest większy, a rogi ma raczej krótsze i rozgałęzione bardzo płasko i zwykle z wielu pasmami, gdy tymczasem odmiana stałego lądu ma nieco dłuższe rogi innego kształtu.

Największy i najpiękniejszy z nich wszystkich jest Osborad Caribou z północno-wschodniej Kolumbji Brytyjskiej. Chociaż należą one do odmiany leśnej, jednakże nie tylko zamieszkują lasy, ale w lecie wychodzą na płaszczyzny górskie.

Uczeni i sportsmeni dzielą Caribou ze wschodnich wybrzeży na wiele odmian, stosownie do wielkości rogów, barwy i drobnych zewnętrznych cech charakterystycznych, mianowicie: „Skalne Caribou" z półwyspu Kenai, „Górskie Caribou", „Caribou z wyspy królowej Karoliny" etc. etc., ale prawdopodobnie te odmiany stopniowo się między sobą zacierają. P. Bryan Williams odróżnia tylko 2 odmiany w Kolumbji Brytyjskiej, t. j. Osborus Caribou i Górskie Caribou i odmianę obecnie może już wygasłą ze wschodnich wybrzeży wyspy królowej Karoliny. W każdym razie rozgałęzienie rogów Caribou, jak też i reniferów nie może stanowić podstawy do klasyfikacji tych odmian.

(d. n.)



W obronie jelenia w Karpatach

I.

Uważam, że w odpowiedzi na artykuł Pana Dr. W. B. o powyższym tytule, na który świetnie lecz krótko, odpowiedział Pan Wicepr. Mniszek — powinni co rychlej wyrazić swoje zdanie i inni nasi wybitni łowcy i znawcy Karpat, jakimi w pierwszym rzędzie są: Prezes Juljusz Bielski, Zdzisław Tarnowski, Adam Zamoyski, Aleksander Przedrzymirski, Prof. Sołowij, Cyryl Czarkowski-Golejewski i wielu innych. Piszę te słowa w nadziei, że mój skromny głos Ich do tego pobudzi.

A sprawa jest ważniejsza, niżby się wydawało. „Łowca" a przedewszystkiem „Polskiego Łowca", czyta ogromna większość myśliwych, którzy na jelenie górskie nigdy nie polowali, którzy Karpat nie znają; ci snadnie mogliby przejąć się wywodami P. Dr. W. B. i ci mogliby kiedyś spowodować zmianę czasu ochronnego dla jelenia, co byłoby równoznaczne z wypisaniem nań wyroku zagłady. Tak, twierdzę stanowczo, iż gdyby jeleń w czasie rykowiska cieszył się ochroną, to radość ta nie trwałaby długo; niebawem podzieliłby los żubra i łosia.

Wszelkie rozporządzenia Władz, nicby tu nie pomogły. Ochronę nad jeleniem ze skutkiem dodatnim sprawo-

wać mogą tylko prawdziwi myśliwi; a ci gdyby podczas rykowiska strzelić nie mogli, przestaliby zajmować się tym zwierzem ze swego największego uroku odartym.

Twierdzenie to postaram się udowodnić. W czasie łojnym możnaby polować na jelenie w następujący sposób:

1) z psami gończemi,
2) z nagonką,
3) na podchodnem i zasiadce.

Co do pierwszego sposobu zacytuję zdanie P. Wicepr. Mniszka: „Nie wyobrażam sobie czegoś równie przykrego dla myśliwego, jak widok naszego króla Karpat pędzonego przez zgraję kundli". Jestem tego samego zdania i sposób ten odrzucam.

Polowanie z nagonką, względnie kilkoma naganiaczami, mogłoby dać rezultat dodatni, lecz ileż nato potrzebaby było wysiłków skoordynowanych zgodnie i wiedzy. Gdzież jest ten rewir, który posiada tak wyszkolonych przez naturę strażników, tak chętnych, tak znających przesmyki i stanowisko zwierza? A gdybyż nawet to wszystko istniało, to ileż razy potrzebaby było przepędzać ostępy, nimby ten „kapitalny" pokazał się na strzał. A jeleń kocha przedewszystkiem spokój. Czyż nie przyszło na myśl P. Dr. W. B., że tego rodzaju polowania, to i poprzednie, odniosłyby ten niewątpliwy skutek, iż jelenie przeniosłyby się do naszych sąsiadów za granicą. A więc i ten sposób odrzucam.

Pozostaje podchodne i zasiadka. Ubicie jelenia jednym czy drugim sposobem, jest mojem zdaniem nie sztuką myśliwską, tylko przypadkiem, który naturalnie prędzej trafi się doświadczonemu myśliwemu, ale przypadkiem zawsze pozostanie. Wiadomą jest rzeczą, że gruby byk w czasie łojnym po rewirze nie spaceruje, lecz spoczywa w najgłębszym i najniedostępniejszym gąszczu, a na żer wychodzi tylko nocą i nocą z żeru powraca. Więc gdzie i kiedy mamy tego jelenia podchodzić? Potrafi to tylko kłusownik, który czołgając się na brzuchu, strzela do pierwszej lepszej napotkanej sztuki na kilkanaście kroków loftkami.

Byłby jeden i to pewny sposób. Gdy śnieg zaścieli połoniny a zwierz głód zaczyna odczuwać, późną jesienią (według P. Dr. W. B., jeszcze w grudniu wolnoby polować na jelenie) zakładać smaczną przynętę i czatować w noc księżycową; sposobu tego jednak chyba nikt nie pochwali. Co wolno i czego krytykować nie należy na kresach zachodnich w stosunku do jelenia nizinnego, tego w Karpatach czynić nie wolno.

I z tych to a nie egoistycznych powodów uważam, że jedyną porą odpowiednią do odstrzału jelenia jest rykowisko.

Co do mięsa, nie idzie ono nigdy na marne; szynki biorą leśniczowie, a inne części dzielą między sobą strażnicy do ostatniego kawałka.

I co do samego strzału nie mogę zgodzić się na twierdzenie P. Dr. W. B. Uważam, że dla myśliwego średnio dobrze strzelającego, strzał na sto kroków do rogacza jest pewny; natomiast strzał na trzysta kroków do jelenia, nawet dla bardzo dobrze strzelającego, nigdy zupełnie pewnym nie jest i dlatego na takie odległości strzelać się nie powinno, pomijając już, że na trzysta kroków nawet przez bardzo dobre szkła, dokładne sklasyfikowanie wieńca jest bardzo trudne.

Co do samej hodowli, chciałbym tylko zrobić jedną uwagę opartą na następującym przykładzie. Spotkałem na ostatniem rykowisku jelenia 10-taka o bardzo pięknym i grubym wieńcu i znakomitej kondycji fizycznej. Jeleń prowadził za sobą kilka łań; podszedłem go blisko i długo przypatrywałem się, ale nie strzeliłem w nadziei, że spotkam go za 2—3 lat. Przypuszczam, że większość myśliwych tak samoby postąpiła. Pytam; czyż jeleń ten nie miał i niema czasu zostawić po sobie zdrowe potomstwo, czyż na to potrzeba paru odnóg w koronie? Przeciwnie, przypuszczam iż jest on zdatniejszy w tym celu teraz niż później, gdy zrobi się kapitalnym w wieńcu, ale podstarzałym w ciele. Na dowód przytoczę fakt znany, iż często widzi się haremy łań prowadzone przez silnego w ciele lecz stosunkowo słabego w wieńcu byka, a kapitalny spełnia rolę „Beihirscha", nie czując się na siłach rozpoczęcia walki z młodszym rywalem.

Bardzo mi przykro, że muszę polemizować z tak znakomitym myśliwym i strzelcem, ale P. Dr. W. B., pisząc swe artykuły, przeniósł się do jasnej przeszłości, gdzie góry nasze roiły się od szlachetnego zwierza, gdzie jak sam pisze, miał po kilkadziesiąt jeleni do odstrzału; te czasy minęły niestety i nie wrócą. Stan jeleni podniósł się znacznie od wojny i jeszcze podniesie, ale nie dorówna nigdy przedwojennemu; za małe na to rewiry, za wielka konkurencja; za krótki czas dzierżaw i niepewność przedłużenia tychże.

Rok 1932 będzie ogromnie ważny w dziejach powojennego jelenia; jest to rok przedłużania dzierżaw, jeśli więc Rząd, względnie Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie, położy większy nacisk na hodowli i osobach dzierżawców, niż na dochodach płynących z dzierżaw, jeżeli czynsz dzierżawny nie będzie zbytnio podniesiony, jeśli wreszcie dotychczasowi dzierżawcy przynajmniej w większości zdołają się przy rewirach utrzymać, to niech nikt nie żywi obaw o przyszłość jeleni, z pewnością stan ich nie zmniejszy się, tylko podniesie, a i wieńce choć zdobywane na rykowisku, co roku będą lepsze.

Myśliwy małopolski wie dobrze, jaki skarb w swych górach posiada i sam dbać oń potrafi.

Czytając znakomitą replikę P. Wiceprezesa Mniszka z jednym tylko z Jego poglądów zgodzić się nie mogę i z prawdziwem zdziwieniem go odczytałem. P. Wicepr. Mniszek pisze: „Jeden taki byk (w czasie łojnym zabity) da nam więcej myśliwskich rozkoszy niż dziesięć ubitych na rykowisku". Jakżeż to? Więc jeden taki byk zabity — w z pewnością trudnych, lecz nie miłych warunkach, o zmroku, albo gdzieś na wąskim przesmyku, strzelony z musu tak szybko, że tylko wielkiemu szczęściu przypiszemy, jeżeli to będzie byk kapitalny — ma dać więcej rozkoszy myśliwskich, niż cudowny podchód ryczącego jelenia? I cóż z tego jelenia zostanie: trofeum na

ścianie? Ale cóż warte trofeum, jeżeli nie towarzyszy mu wspomnienie — od wspomnienia tego w pierwszym rzędzie zależy wartość trofeum — a cóż warte wspomnienie takiego strzału w stosunku do tego, jaki pozostawia w ryku podchodzony i zabity jeleń?

Ja osobiście wolę jednego jelenia podchodzić na rykowisku i nie strzelić nawet, niż zabić ich kilka w czasie łojnym.

Na zakończenie dodam, że działając w myśl zasad P. Dr. W. B., doszlibyśmy do konkluzji, iż grubych byków nigdy wogóle strzelać nie należy, gdyż zabijając je w czasie łojnym, uniemożliwilibyśmy im wzięcie udziału w najbliższem rykowisku.

Przyborowie w maju 1930.

Józef Jabłonowski

II.

W 8 numerze „Łowca" z b. r. spotkałem artykuł pióra Dra W. B. pod wyżej podanym tytułem.

Wiemy wszyscy, że pod temi inicjałami kryje się jeden z naszych najwybitniejszych myśliwych i najlepszych znawców naszych gór i ich stosunków łowieckich. To też niemało zatrwożył mnie wniosek Szanownego Autora zmierzający do wykazania konieczności ustawowego zakazu wykonywania odstrzału jeleni w czasie rykowiska. Zatrwożył mnie nie tyle ze względu na zagrożone tym wnioskiem prawo łowieckie, jak raczej troska o los samych jeleni, które wobec takiego zakazu straciłyby dużo ze swej siły atrakcyjnej, a tem samem uroniłyby znaczną część otaczającej je dziś opieki za którą płacą wieńcami w czasie rykowiska.

Artykuł p. Dra W. B. z 8 numeru „Łowca" jest odpowiedzią polemiczną na zapatrywania wyrażone w tej kwestji przez p. Alberta Mniszka w ostatnim numerze „Łowca" z r. ub.

Trudno i niebezpiecznie „wtykać swoje trzy grosze" między takie dwie powagi, to też nie zamierzam polemizować z żadnym z Szan. Autorów, a to tembardziej, że argumenty p. Mniszka, z któremi każdy myśliwy zgodzić się musi, zwalniają mnie najzupełniej od tej konieczności. Przy tej sposobności zaznaczyć pragnę, że mimo dwukrotnego dokładnego przetrutynowania artykułu p. Mniszka z 24 numeru „Łowca" z r. 1929 nie znalazłem w nim inkryminowanego mu przez Dra W. B. zapatrywania iż „jeleń dla myśliwego poza rują nie egzystuje". Być może, że słów tych użył p. M. w innym nieznanym mi artykule, a jeżeli tak, to był tłumaczem położenia znacznej części myśliwych, dla których jeleń poza rykowiskiem jest najzupełniej niedostępnym. A że właśnie ta kategorja myśliwych może jeleniowi zapewnić najskuteczniejszą opiekę, nie należałoby jej zniechęcać do łowów, którym tylko sporadycznie i na bardzo ograniczony przeciąg czasu poświęcić się może.

Nie każdemu udzielił Stwórca tej największej swej łaski, dozwalając mu spędzić całe życie pod sklepieniem jodeł i buków karpackich, nie każdemu danem jest być zawodowym myśliwym i leśnikiem obcującym bez przerwy z lasem i zwierzem. Taki wybraniec św. Huberta może polować w sposób, jaki uzna za stosowny i może sobie pozwolić na błąkanie się całemi tygodniami za tak zwanym „Feisthirschem" wiedząc, że jeżeli nie w tym sezonie, to w następnym, lub jeszcze którymś z dalszych, spotka się wreszcie z upragnionym bykiem bez potrzeby uciekania się do rykowiska. Ale nie każdy myśliwy może sobie na to pozwolić. Jednym przeszkadza w tem służba publiczna, innym obowiązki administracyjne, rodzinne, polityczne i tysiączne inne, tak, że tylko w czasie rykowiska i to nie corocznie wyrwać się mogą na krótko w góry, by choć przez kilka dni zażyć tych wrażeń, które są chlebem powszednim dla pierwszych. Odebrać im tę możność przez zakaz polowania w czasie rykowiska, byłoby dla nich zbyt bolesną krzywdą a równocześnie osłabieniem ich interesu w wszelkich sprawach tyczących się jeleni, a temsamem pozbawieniem tego królewskiego zwierza rzeczywiście skutecznej opieki, jaką mu ta właśnie kategorja myśliwych dzięki swej finansowej potędze zapewnić może.

Opieki tak skutecznej nie są w stanie zapewnić jeleniom wspomniani powyżej wybrańcy losu, którzy pomimo swoich wysokich walorów łowieckich, krępowani są najczęściej mniejszą lub większą zależnością służbową a prawie zawsze zależnością finansową. Obniżyć jakość jeleni w danym rewirze można nietylko odstrzałem na rykowisku, lecz również skutecznie nadmiernem wykonywaniem odstrzału na podjeździe i podchodnem, czy też na zasiadkach. Myśliwy pragnący strzelać dużo i bez wyboru będzie zawsze szkodliwym czynnikiem w kniei, bez względu na sposób, w jaki polować będzie. Podnieść poziom zwierzostanu ilościowo a zwłaszcza jakościowo może tylko łowiec znający swą sztukę i mogący ocenić co i w jakiej ilości odstrzelić można, łowiec, który potrafi nałożyć wędzidło swym namiętnościom i zrozumieć, że wolno mu tylko odcinać kupony a nie czerpać z kapitału. Jak długo odstrzał spoczywać będzie w ręku łowców hołdujących tej zasadzie, spokojni być możemy o jakość naszych jeleni, jakoteż spokojni o „naszą etykę" łowiecką. Rzeczą ustawodawstwa byłoby ustanowić takie sankcje, któreby zapewniły tę etykę i odebrały ochotę „strzelaczom" do jej przekraczania. Jakie mają to być sankcje i jakie rozporządzenia, trudno podać na to generalną receptę. Narazie mamy w tej sprawie zapatrywania p. Dra W. B. i konkretne wnioski p. Knothego i p. Mniszka, a zapewne wyłoni się ich więcej jeszcze. Miejmy więc nadzieję, że przyszłe ciało powołane do ich rozpatrzenia, wybierze z nich najwłaściwsze i zapewni w ten sposób królowi gór naszych pożądaną opiekę. — Miejmy nadzieję, że wniosek p. Dra W. B. zostanie bardzo osamotniony i że naprawa stosunków jelenich nie nastąpi przez zakaz odstrzału na rykowisku.

A. Przedrzymirski

Wspomnienie pośmiertne

Syn generalnego dyrektora węgierskich dóbr ks. Hohenlohego, Arpad Eduard Kégel, urodzony w lipcu 1875 r., stanowił czwarte pokolenie, pracujące ku pożytkowi olbrzymich obszarów książęcych.

Szkoły ukończył w Keżmarku, akademję rolniczą w Magyar Ovàr, studja handlowe w Lipsku.

Gdy po ojcu swym objął stanowisko dyrektora, z umiejętnością oddaje się hodowli i ochronie zwierzyny. W tym czasie stanowiła Jaworzyna dobra luksusowe, pochłaniające wiele pieniędzy. Olbrzymie obszary lasów i gór otoczono płotami, tyrolska straż łowiecka gryzła twardy orzech w walce z kłusownictwem. Zachodzili tam nawet i nasi górale, zabijali czasem wspaniałe sztuki, kiedyindziej z podziurawioną skórą wracali. Stopniowo kłusownictwo panoszyło się coraz mniej, zwierzyny przybywało. Z Carskiego Sioła, Uralu, z Kanady i z Niemiec sprowadzano jelenie. Szczególnej opieki doznawały amerykańskie olbrzymy Wapiti.

Wytrzymałe muły miały w lecie sporo roboty, zanim przed półroczną zimą wywiozły w góry zapasy owsa, bobu i marchwi. Z dzikich kasztanów i razowej mąki wypiekano płowej zwierzynie twardy chleb, dodawano soli mineralnych. W górach wykupiono większość hal, miały więc zapewnioną paszę i spokój kozice. Sprowadzone z Alp i Kaukazu koziorożce (capra Ibex i c. caucasica) zaaklimatyzowały się szybko i doskonale czuły w przybranej ojczyźnie.

Nieco gorzej wiodło się żubrom i bizonom (z Białowieży i Ameryki półn.), przychówku było niewiele i rósł słabo.

Królami Jaworzyny były niedźwiedzie, wczesnym rankiem wywożono im krowy, konie i owce, zbliżyć jednak i fotografować pozwalały się tylko strażnikom.

Za szkodniki uważano wszelkiemi sposobami tępionego żbika, rysia, lisa i wilka. Ostatni był jednak rzadkim gościem, nieliczne też zawsze były dziki.

Dla myśliwego i przyrodnika była Jaworzyna rajem, o charakterze zbliżonym do Parku Narodowego. Książę Hohenlohe, świetny myśliwy, najmilsze chwile swego życia spędzał w Jaworzynie na łowach i obserwacji górskiej przyrody. Co roku urządzał proszone polowanie. Drewniany pałac myśliwski, wspaniałemi trofeami ozdobny, gościł najświetniejsze rody Węgier i Niemiec.

Podczas jednego z takich polowań w Samogysnab, 13 stycznia 1913 r., po trzynastu latach administracji dobrami, uległ dyr. Arpad Kégel nieszczęśliwemu wypadkowi. Stojąc na trzynastem stanowisku, został postrzelony w obie nogi. Nie mogąc już odtąd chodzić po ulubionych górach, i osobiście doglądać zwierzyny w wyższych rejonach, nie poprzestaje na dokonanem dziele. Z właściwym mu zapałem, otacza pieczołowitą opieką pstrągi i łososie.

W r. 1912, rząd węgierski nie mniej ceniąc te zasługi od samego księcia, nadał mu tytuł Węgierskiego Radcy Królewskiego.

Niestety wojna zrobiła swoje. Brakło ludzi, funduszów i żywności, wielką ilość zwierzyny musiano wystrzelać dla użytku armji. Połamały się płoty, rozpanoszyły zanadto niedźwiedzie, wyginęło moc zwierzyny.

Wraz z całym zespołem strzelców idzie dyr. Kégel na wojnę, po półtora roku, ze względu na chore nogi wraca jednak do domu. Początkowo ubolewa nad spustoszeniem zwierzyńca, zamiast 12 bizonów zastaje jedno cielę (dzisiaj jedyna, dorosła już krowa), w tym samym stosunku ubyło i innej zwierzyny. Stopniowo jednak, mimo okrojonych znacznie funduszów i zredukowanego personelu stan zwierzyny się poprawia. W ostatnich nawet latach, ilość kozic i koziorożców zbliżyła się ku cyfrom przedwojennym.

Smutne zmiany, jakie zaszły w sytuacji jego umiłowanej ojczyzny, oraz tragiczna śmierć najukochańszej córki była powodem choroby sercowej, na którą po kilku miesiącach umiera.

Arpad Eduard Kégel, gorący patrjota Węgier i wielki przyjaciel Polaków, pochowany jest w swej Ojczyźnie — Jaworzynie, u stóp wspaniałych Tatr, kilka kilometrów od granicy polskiej.

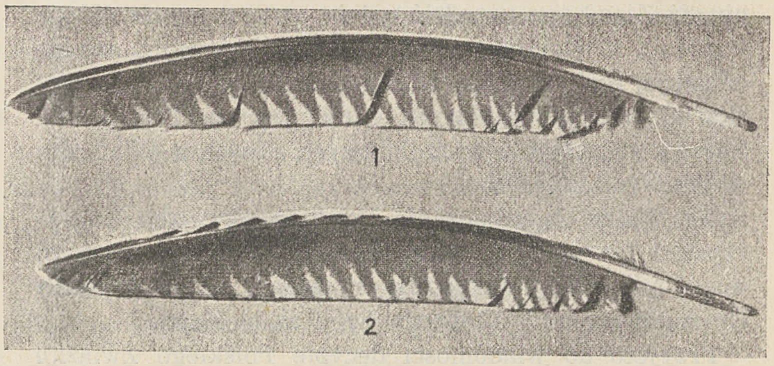
Jarzębina, w marcu 1930

Ludwik Sędzimir

Kronika

Jak rozpoznać płeć słonki?

W numerze 20 czasopisma „Wild und Hund" z bież. r. podaje Dr. Milowan Zoricić, wiceprezes Związku Jugosłowiańskich Stowarzyszeń łowieckich, że na pewnem zebraniu po powrocie z ciągu słonek poruszono tę sprawę i twierdzono, że daje się ona wyjaśnić tylko zapomocą sekcji. Sprzeciwił się temu zapatrywaniu jeden z obecnych starych myśliwych i twierdził, że samczyk posiada zewnętrzną lotkę (ostatnią), na grzbiecie, wzdłuż łodyżki piórowej zygzakiem biało brunatnym znaczoną, przez co łatwo go odróżnić od samiczki. Przepatrzono ubite dnia tego słonki i przekonano się, że rzeczywiście niektóre ptaki posiadały wyż opisaną cechę. Nadto jeden z ptaków rozpoznany jako samiczka, gdyż skonstatowano w jego wnętrzu jajko, nie posiadał na zewnętrznej lotce zygzakowego znaku. By naszym myśliwym dokładnie rzecz uprzytomnić, podajemy podobizny



lotek; wyżej umieszczona należy do samiczki, niżej umieszczona do samczyka. Byłoby wskazanem, aby myśliwi nasi rozwiązali ten problem zapomocą sekcyj i o rezultatach swych badań nas uwiadamiali. *A. M.*

Wersalczycy w Polsce

Korespondent nasz p. Bogusław Stamierowski, nadesłał nam aluminiową obrączkę, zdjętą z nogi ubitego w dniu 3 marca b. r. czarnowrona (corvus corone) w Huniatynie w powiecie sokalskim. Obrączka nosi napis Versailles I. R. A. 28. Założoną więc została przez stację ornitologiczną w Wersalu w roku 1928. Z takąż obrączką i identycznym napisem zastrzelono gawrona w Boremlu nad Styrem w marcu b. r. Przysłaną nam obrączkę odesłaliśmy do Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

A. M.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 22 maja 1930 r.

Przewodniczy Prezes J. hr. Bielski, obecni wiceprezesi: C. Czarkowski - Golejewski, A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: Wł. Garapich, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz, Dr. W. Ziembicki, zastępcy: M. Chrzanowski, St. Jaśkiewicz i St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili: inż. A. Ebenberger i A. Papara.

Wzięto ponownie pod obrady ustalenie terminu tegorocznego Zjazdu M. T. Ł. i postanowiono zgodnie pozostać przy uchwale powziętej na poprzedniem posiedzeniu, iż Zjazd ten urządzić należy w pierwszych dniach września. Ściślejsze oznaczenie dni, w których Zjazd się odbędzie, jest zawisłem od tego, na kiedy M. T. Ł. uzyska od Władz wojskowych strzelnicę na Kleparowie. Sprawa ta zostanie w najbliższych dniach z Władzami wojskowemi omówioną.

Na Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, które Zarząd zwołał na dzień 25 maja, mianowano delegatów w osobach Panów Marjana Chrzanowskiego i Edwarda hr. Krasińskiego.

Przyjęto do wiadomości decyzję Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, że myślistwo polskie nie weźmie oficjalnego udziału w tegorocznej wystawie futer i łowieckiej w Lipsku, a to z przyczyn natury politycznej i finansowej.

Mianowano w dalszym ciągu delegatami: Władysława Gołębiowskiego w Pukaczowie, w powiecie radziechowskim, Kazimierza Gołębskiego w Lipicy Górnej, w powiecie rohatyńskim, Zygmunta Strigla w Łysej, p. Zawałów, w powiecie podhajeckim i Dr. Janusza Trzcienieckiego w Złoczowie w tymże powiecie, przyjmując zarazem jego rezygnację z godności tej w powiecie czortkowskim. Przyjęto również rezygnację delegatów: Adama Kwaśniewskiego z powiatu starosamborskiego i Dr. Stanisława Łobosa z powiatu dobromilskiego, z powodu przesiedlenia się ich z tych powiatów.

W poczet członków przyjęto: Edmunda Stawowczyka w Połonicznej, w powiecie radziechowskim i Tadeusza Sułkowskiego w Stanisławowie.

Komunikaty

Z puszczy Białowieskiej

Puszcza Białowieska, stanowiąca największy kompleks lasów na całym niżu Europy Środkowej, o przestrzeni 143.000 hektarów, pociągała i pociąga każdego, kto o niej coś czytał lub słyszał. Bo też kryje ona w sobie nieprzebrane skarby i walory tak materjalne, jak i duchowe. Tu przechowały się liczne podania i łegendy od czasów Gedymina, a cały szereg postaci historycznych po przez Jagiełłę, Batorego, Stanisława Augusta i Napoleona, aż do Grottgera i Sienkiewicza żyje tu w nieśmiertelnym poszumie potężnych lip, starych sosen i świerków, wielowiekowych dębów, a pieśń głuszca przekazuje „budikowi" z pokolenia w pokolenie pamięć o ich sławie.

Tutaj ma swe mateczniki od wieków krwiożerczy ryś, rycerski jeleń, szary wilk i trubadur puszcz — czarnopióry głuszec, a Król Puszczy żubr po tyloletniej tułaczce po zwierzyńcach i ogrodach zoologicznych świata wrócił tu, jako do swej ojcowizny.

Tutaj każdy może przekonać się o wszechpotędze lasu, uzmysłowić sobie, że jego wartość „zielonego złota" jest może stokroć większą, niż wartość dźwięczącej monety, bo ona uszlachetnia dusze ludzkie, bo ona daje odpoczynek i ukojenie.

Tu każdy zobaczy i znajdzie tysiące interesujących go szczegółów, motywów i obrazów, tu odbierze krocie wrażeń, które pozostawią w pamięci i w duszy niczem niezatarty ślad żywiołowego piękna i potęgi przyrody. Wyścig pracy jako hasło w odbudowie tego, co zniszczyła tutaj wojna, staje się dla każdego w Puszczy zjawą realną, dodaje bodźca do wytrwania w boju nad podniesieniem dobrobytu kraju, krzepi na duchu w walce o byt, jednostki i społeczeństwa.

Miłośnik przyrody znajdzie tutaj i piękne objekty i trudne do przebycia knieje, a zadowolenie wewnętrzne pozostanie w jego duszy i wspomnieniami raz na zawsze zwiąże go z Puszczą. To też ciągnie rok rocznie do Puszczy Białowieskiej nieskończony korowód wycieczek zbiorowych i pojedyńczych turystów.

Ruch ten znamionuje, iż w społeczeństwie polskiem budzi się coraz więcej poczucia miłości ku imponującej swym obszarem, pełnej niespotykanych nigdzie pomników przyrody-puszczy, stającej się naszą dumą narodową.

Jest ona bowiem przedmiotem podziwu swoich i obcych, i godna jest zaprawdę, aby cały naród ukochał

w niej jej piękno, jej moc zwycięską, której, jak duszy narodu, nie zniszczyły ni okowy niewoli, ni klęski wojny.

Niech stanie się ona symbolem naszej wielkości, raczej siły państwowej i potęgą swoją niech krzepi dusze i zagrzewa serca do walki o wielkość narodu.

Zbliża się okres, w którym Puszcza stanie przed nami w najpiękniejszej swej szacie, pełna krasy stubarwnego kwiecia i zieleni, świergotu niesłychanej ilości jej mieszkańców skrzydlatych.

Gdzież można znaleźć więcej wrażeń, rozkoszy obcowania z przyrodą, jak nie pod cieniem jej olbrzymich konarów.

Aby jednak dać możność licznym rzeszom turystów zapoznać się z jej „przepastnemi krainami", potrzebna jest pewna pomoc miejscowego społeczeństwa. W tym celu Stowarzyszenie Urzędników Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży „Samopomoc" powołało do życia Sekcję Turystyczną, która podając powyższe do wiadomości ogółu, uprasza pragnących zwiedzić Puszczę o zgłaszanie się pod adresem: „Sekcja Turystyczna Stowarzyszenia Samopomocy w Białowieży, adres telegraficzny „Białowieża, Samopomoc".

Zadaniem Sekcji jest przyjmowanie wycieczek na stacji kolejowej i w Białowieży, ułatwianie zwiedzenia Puszczy, zorganizowanie środków lokomocji, przygotowanie noclegów i t. p.

Organizatorów wycieczek grupowych uprasza się o porozumienie z Sekcją celem ustalenia terminu przyjazdu wycieczek.

Śląskie Tow. Łow. w Katowicach

na swem dorocznem Walnem Zebraniu, odbytem w dniu 4 kwietnia 1930, uchwaliło:

1. Poprzeć inicjatywę członków Grzesika i Ogórka utworzenia w Rybniku Kółka Myśliwskiego, członkowie którego muszą jednak być członkami zwyczajnymi naszego Towarzystwa; dla ustalenia szczegółów wydelegowano do Rybnika na 13 IV 1930, członków: Podgórnego, Mędlewskiego, i Malinowskiego.

2. Zwrócić się do swych członków z apelem możliwie najwydatniejszego poparcia urządzanej w Cieszynie Wystawy Łowieckiej.

3. Wybrać jednogłośnie do Zarządu Członków Podgórnego, Pszonkę i Gottwalda.

4. Wybrać delegatów na powiaty: Rybnik: Pawełec, Malinowski i Rowiński; Pszczyna: Kożdoń i Odręba; Katowice: Mędlewski i Herde; Tarnowskie Góry: Potyka i Grzyb; Lubliniec: Willert i Berndt oraz Świętochłowice: Jerzy Vogt.

5. Rozdysponować 1150 zł. jako 29 premij, w wysokości 25— 200 zł., za skuteczne tępienie kłusownictwa. Do dyspozycji Zarządu oddano na ten cel 3000 zł., dla rozdzielenia w terminie do najbliższego Zwyczajnego Walnego Zebrania.

6. Utworzyć trwałą fundację im. śp. Palacza i na ten cel przekazać 2000 zł. do Miejskiej Kasy Oszczędności w Katowicach. Kwota ta będzie rokrocznie dodatkowo powiększana a odsetki używane na alimentacje wdów i sierót po padłych na polu zwalczania kłusownictwa.

7. Nadać § 5 brzmienie: Członkowie zwyczajni płacą jednorazowo wpisowe w wysokości 5 zł. i miesięczną wkładkę w wysokości 1,50 zł. — Wkładka miesięczna urzędników leśnych od leśniczego w dół, wynosi 0,50 zł.

8. Zorganizować w sierpniu lub wrześniu 1930, wycieczkę na Międzynarodową Wystawę Łowiecką w Lipsku. Przewidziane są różne udogodnienia tak, że koszta będą — zwłaszcza w większej grupie — umiarkowane. Zgłoszenia należy nadsyłać pod adresem: Dr. Jan Podgórny Katowice, Okr. Urz. Ziemski, w terminie do 1-go lipca 1930.

Łowcom cześć!

Sekretarz:	Prezes
(—) Dr. Jan Podgórny	*(—) Wacław Paszkowski*

Pięćdziesięciolecie Tow. Myśliwych w Stanisławowie

Pół wieku minęło od chwili, gdy garstka myśliwych stanisławowskich, którzy od wielu lat dzierżawili tereny polowań, postanowiła ukonstytuować się w Towarzystwo, oparte na statucie.

Ta myśl urzeczywistniła się, a statut Towarzystwa Myśliwych w Stanisławowie, zatwierdziło ówczesne Namiestnictwo we Lwowie, reskryptem z dnia 9 września 1880 roku, do L. 14514.

Z dawnych kronik Towarzystwa nie można sprawdzić, jak długo przed zatwierdzeniem statutu istniało Towarzystwo poniekąd nieoficjalnie.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że Towarzystwo Myśliwych w Stanisławowie, należy do najstarszych zrzeszeń łowieckich w Polsce.

Gdy dziś nie ma już z pośród żyjących żadnego z założycieli Towarzystwa — postanowił Wydział uroczystym obchodem 50-cio lecia uczcić Ich pamięć.

Obchód ten odbędzie się dnia 15 czerwca b. r. w Stanisławowie, z następującym programem:

O godz. 8-mej rano msza św. w kościele „Ave Maria".

Od godz. 9-tej rano Zawody strzeleckie Myśliwych na boisku „Sokoła I.", przy ul. Kazimierzowskiej, z broni małokalibrowej, dowolnej kulowej i do krążków.

O godz. 9-tej wieczorem rozdanie nagród — wspólna wieczerza.

Niniejszem zapraszamy wszystkie Towarzystwa Myśliwskie do łaskawego wzięcia udziału w obchodzie.

Wydział:

Sekretarz:	Prezes:
Juljusz Bodnar	*Inż. Mieczysław Beill*

Zakłady Amunicyjne „Pocisk" S. A.

zawiadamiają, że w dniach 8, 9, 10 i 11 czerwca 1930 r. urządzają na własnej Strzelnicy przy fabryce w Rembertowie p. Warszawą Zawody w strzelaniu do rzutków.

Chcący brać udział w powyższych zawodach Członkowie M. T. Ł. zechcą przesłać swe zgłoszenia wprost do Zakładów amun. „Pocisk", Warszawa, Mińska 25.

Z turystyki

Program wycieczek na rok 1930 P. B. P. „Orbis" wyszedł z druku i przedstawia się bardzo bogato i dodatnio. Najlepiej obsadzone zostały miesiące wakacyjne lipiec i sierpień, przyczem punktami wyjazdu są najczęściej Poznań i Gdynia.

Osobną stronę programu zajmuje organizacja wycieczek na M. W. K. T. w Poznaniu ze wszystkich miast Polski.

W programie podane są warunki udziału w wycieczkach, oparte na porozumieniu z biurami zagranicznemi, dokładne wskazówki i koszta.

Czytelnikom naszym zwracamy uwagę na wycieczkę na 3 wystawy a to do Sztockholmu, Poznania i Lipska. Wyjazdy nastąpią z Gdyni w dniach 3 i 16 lipca okrętami żeglugi Polskiej.

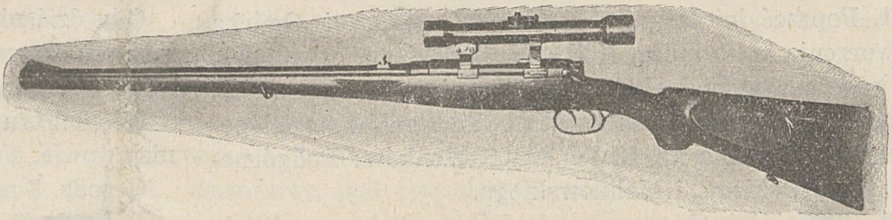
Programy wycieczek można otrzymać bezpłatnie we wszystkich oddziałach „Orbisu" w kraju — wszelkich zaś informacji udziela Dział Turystyczny Centrali „Orbisu", Lwów, ul. Jagiellońska 20-22.

Wielkopolski Związek Myśliwych podaje do wiadomości, że z dniem 17 maja b. r. przeniesione zostały biura związku w Poznaniu, z ul. 27 Grudnia 19, na ul. Fr. Ratajczaka 17, II p., Nr. telefonu 59-97.

Sprostowanie

W nrze 10 „Łowca" z 16 maja 1930 w artykule pod tytułem „Wałycz" zamiast zupełnie zniekształconego ostatniego ustępu na str. 158, szpalta pierwsza, ma być:

„Bez przesady można powiedzieć, że rozkłady ubitej w Wałyczu zwierzyny mogłyby być bez porównania większe — ale Józef i Jerzy Dąmbscy nie polują (jak to niestety wielu czyni na zachodzie) dla ilościowego rekordu — lecz z rozumną łowiecką wstrzemięźliwością, nic dziwnego, bo łowiectwa się od wczesnej młodości w naszych małopolskich kniejach uczyli — a w żyłach ich tak po mieczu jak i po kądzieli, płynie krew znakomitych myśliwych a ich dziadów, ś. p. Józefa Dąmbskiego z Rudnej i ś. p. Kazimierza Wodzickiego z Olejowa".



TREŚĆ NUMERU 11:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16